

ANTYGEN

Lucyna Powalska

Lucyna Powalska
Antygen

© Copyright by haveanicEbook.pl

ISBN 978-83-64820-04-5

Redakcja
Katarzyna Kłoś

Korekta
Liliana Skolimowska

Projekt okładki
Tomasz Toruński & haveanicEbook.pl

Skład i łamanie
Katarzyna Kłoś

Wydawca

Wydawnictwo Internetowe haveanicEbook.pl
www.haveanicebook.pl
kontakt@haveanicebook.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2015
Siedlce

Spis treści

Prolog.....	4
I Przeczucie	9
II Przerazenie.....	18
III Koszmar	26
IV Powrót do pozornej normalności	37
V Zmuszona do kłamstw	47
VI Pożegnania	58
VII Tęsknota	76
VIII Trudny wybór	80
IX Organizacja	100
X Zaproszenie	112
XI Blask radości	123
XII Iskra	142
XIII Przyjaźń i miłość.....	157
XIV Trudna decyzja	163
XV Wyznanie	175
XVI Ból	187
XVII Potęga miłości	197
XVIII Zaufanie	209
XIX Plan	216
XX Odkrycie	223
XXI Niepewność	231
XXII Już czas	238
XXIII Ku wolności	247
Epilog	254

Prolog

Uwielbiałam takie wieczory jak ten – chłodne powietrze, różowo-fioletowe słońce zanikające za horyzontem, zapach wilgoci skraplającej się na źdźbłach ciemnozielonej trawy oraz donośny śmiech moich przyjaciół, który odbijał się kojącym echem od okolicznych budynków. Wszystko to było gwarantem dobrej zabawy i radości rozświetlającej codzienne chwile. Kochałam sekundy, minuty, godziny i dni, kiedy łagodna i troskliwa przyjaźń zdawała się niewidzialną ręką ścierać łzy z policzków. Dodawała mi otuchy i wytchnienia. Pozwalała zapomnieć. Zapomnieć o każdej, najmniejszej goryczy danego dnia i o największej tragedii, która się zdarzyła. Przyjaźń była niczym kurtyna, która opadłszy z łagodnością, przysłaniała wszystko co złe i pozwalała cieszyć się najmniejszym uśmiechem, ciepłem letniego słońca, mroźnym płatkami śniegu, kojącym wiatrem i szumem drzew. Cieszyłam się więc każdym drobiazgiem, który dla innych pewnie byłby bez znaczenia. Tego dnia myślałam, że mam wszystko (och, jakże się myliłam). Sądziłam też, że nic gorszego w życiu nie może mnie spotkać (i to był ogromny błąd!).

Tego wieczora wszystko wydawało się być w porządku. Chłodne powietrze zwiewało mi włosy z twarzy, zmiatając pasma na ramiona. Słońce zniknęło już za horyzontem, a niebo zachwycało odcieniami purpury i liliowego fioletu. Przyjaciele głośno się śmiali, podskakując komicznie przy próbach odbioru piłki. Z oddali słychać było szczekanie psa i śmiech dzieci. Jednak cały czas towarzyszyło mi przeczucie, że coś w tym cudownym obrazku nie gra. Poczułam mrowienie na karku i obejrzałam się za siebie, wpatrując uparcie w martwą przestrzeń. Miałam wrażenie, że za chwilę wydarzy się coś, co zmiecie idyllę i przyniesie jedynie ciemność i chaos. Wytężyłam wzrok i zrozumiałam, że się nie myliłam.

– Uwaga! – ktoś krzyknął. Zanim zdążyłam w jakikolwiek sposób zareagować, poczułam bolesne uderzenie piłki w głowę. Natychmiast upadłam na plecy dodatkowo uderzając o beton. Nie czułam bólu, leżałam wpatrując się w zmartwione, pochylone nade mną twarze.

– Nic ci nie jest? – zapytał ktoś. – Słyszysz?

– Tak – odpowiedziałam siadając po turecku i przytrzymując głowę. Przetarłam ręką nad karkiem, sprawdzając czy nie krwawię. – Chyba wszystko w porządku – dodałam po chwili spojrzawszy na wewnętrzną część dłoni. Była czysta.

Cała czwórka moich przyjaciół kucnęła przede mną, przyglądając mi się badawczo. Łukasz oparł ręce na moich kolanach i obserwował mnie przez jakiś czas.

– Nic ci nie będzie – powiedział wstając. Niedawno ukończył kurs pierwszej pomocy i od tej pory bardzo intensywnie obserwował innych, aby w razie potrzeby udzielić im pomocy. Szybko wstałam, aby nie dać mu powodów do podjęcia akcji ratowniczej. Nikt nie chciałby być ratowanym przez mojego chłopaka, nawet ja. Nie robił tego źle, wręcz przeciwnie, był troskliwy i wrażliwy, bardzo angażował się w to czego się nauczył, przez co moim zdaniem jego interwencja niechybnie skończyłaby się w szpitalu.

– Krzychałem, że serwuję – zaczął usprawiedliwiać się Karol, o którego istnieniu nagle sobie przypomniałam – ale nie słyszałaś.

Teraz również go nie słyszałam, a raczej nie słuchałam, gdyż uświadomiłam sobie co odwróciło moją uwagę od gry. W pobliskich krzakach zauważyłam obserwującego nas mężczyznę. Przez cały mecz siatkówki czułam wwiercające się we mnie spojrzenie, aż w końcu go namierzyłam. Siedział skulony i przyglądał się. Nie byłam pewna czy powinnam się niepokoić. Jednak coś mi podpowiadało, że uderzenie piłką w głowę, było tylko zapowiedzią czegoś gorszego. Nie miałam pojęcia, co miałoby się wydarzyć, jednak zrozumiałam co zburzało mi poczucie bezpieczeństwa. Był to mężczyzna w czarnym garniturze wciśnięty między zielone gałązki żywopłotu i bezczelnie wpychający się w mój obrazek owego idealnego wieczora.

– Halo! Halo! – ktoś machał rękoma przed moimi oczami. Zamrugałam szybko i wróciłam do rzeczywistości.

– Może jednak coś ci jest – bardziej stwierdził aniżeli zapytał Łukasz.

– Tylko nie to... – pomyślałam i moje zmartwienie nie było bezpodstawne, gdyż zaczął mierzyć mój puls.

– Wszystko w porządku – powiedziałam niegrzecznie, wyrywając rękę z uścisku.

– Co cię ugryzło?! – Łukasz rozgniewał się. Spojrzałam na jego rozzłoszczoną twarz. Pozostała trójka przyjaciół oddaliła się i usiadła na ławce, zajmując się swoimi sprawami, jakby nie chcieli się wtrącać. Zapewne już dawno zauważyli, że między mną a Łukaszem coś się psuje. Właściwie nigdy nie było dobrze. Całą paczką trzymaliśmy się już kilka lat, a nie cały miesiąc temu Łukasz poprosił mnie, bym została jego dziewczyną. Zgodziłam się. Niestety była to pochopna decyzja. Nadal traktowałam Łukasza tylko jako przyjaciela, a na bycie w parze zgodziłam się z pobudek egoistycznych. Tak, byłam egoistką. Potrzebowałam ramienia chłopca, który pomoże mi przetrwać najtrudniejsze chwile życia i osłodzi mi dni. Dlatego też przyjął propozycję Łukasza, bojąc się, że jeśli odmówię to nasza przyjaźń rozsypie się w drobny mak. Była to strasznie idiotyczna dedukcja, ale taka już jestem. Idiotka – pomyślałam.

– Nic – spuściłam oczy, bojąc się, że zauważy, co naprawdę mną kieruje. Starłam się mówić bardziej uprzejmym głosem, aby więcej go nie denerwować. Nie chciałam go krzywdzić.

– Nie wydawało wam się, że ktoś nas obserwuje? – spytałam przenosząc wzrok na resztę. Karolina, długowłosa, szczupła blondynka spojrzała na mnie niepewnie, za jej przykładem poszli Marta z Karolem, choć temu ostatniemu przyszło to z największym trudem. Nie mógł oderwać wzroku od silnie opinającego ciało Karoliny oliwkowego topu, ukazującego dość wyraźnie rowek między piersiami. Dziewczyna wzbudzała zainteresowanie u większości chłopaków, nawet tych o kilka lat starszych. Zapewne było to zasługą jej urody. Oprócz wspomnianych włosów, wyróżniały ją piękne, błękitne oczy a także sposób ubierania się, którym skutecznie podkreślała swoje walory. Obok niej z Martą wyglądałyśmy całkiem przeciętnie, chociaż żadna z nas nie

mogła narzekać na brak urody czy niezgrabną sylwetkę. Karolina była naprawdę piękna, ale żeby od razu ślinić się na jej widok? Zupełnie nie rozumiałam mężczyzn.

– Przez cały mecz miałam wrażenie, że ktoś nas obserwuje – wyjaśniłam widząc brak zrozumienia na twarzach przyjaciół.

Odpowiedziała mi cisza. Czyżby oni tego nie czuli? Czyżby nie zauważyli intruza, który zakłócił nasz spokój? Spojrzałam zdezorientowana. Łukasz wzruszył ramionami.

– W końcu dostrzegłam jakiegoś gościa w garniturze w tamtych krzakach – dla potwierdzenia słów wskazałam pobliski ogród woźnego. Po podglądaczu nie było jednak już śladu.

– W garniturze? – przerwał mi Karol nie kryjąc śmiechu.

– Tak – powiedziałam łapiąc się pod boki. – Nie śmiej się! Gdy go zauważyłam, zniknął. Moje ostatnie słowa sprawiły, że wszyscy wybuchli głośnym śmiechem.

– Fakt – pomyślałam – gdyby ktoś inny opowiedział mi tak niedorzeczną historię, też bym się śmiała.

– Chyba mocno uderzyłaś się w głowę – powiedział Łukasz z troską i objął mnie w tali.

– Znaczą się odszedł – uściśliłam spoglądając na Martę, z którą najbardziej się przyjaźniłam. Tylko ona zdawała się okazać odrobinę powagi dla moich słów.

– Właśnie wtedy uderzyłeś mnie piłką – dodałam po chwili z nieukrywaniem zabawieniem, zwracając się do Karola. Przestałam się przejmować dziwnym mężczyzną. Zniknął, więc nie było się czym przejmować.

Łukasz pogłaskał mnie po głowie widząc mój uśmiech.

– To co, wracamy? – wtrąciła Karolina wstając z ławki i poprawiając swoją mini spódniczkę. – Robi się ciemno, nie będzie widać piłki. Zresztą jutro zaczynamy zajęcia z samego rana, warto być przytomnym w szkole – dodała spoglądając na mnie i Łukasza.

Miała rację. Nie było czasu na zajmowanie się tajemniczym człowiekiem. Były ważniejsze rzeczy. Wrzesień nieubłaganie zbliżał się do końca, co oznaczało definitywny koniec wakacji i czas na naukę.

– Jasne – odpowiedzieli chłopcy zbierając się do opuszczenia szkolnego boiska.
Szliśmy wolno. Mijając krzaki otaczające ogród wóznego poczułam się ponownie nieswojo. Ktoś tam jednak był...

I Przeczucie

Przebudziłam się zrana zimnym potem. Otworzyłam oczy i prędko odsunęłam kołdrę na skraj łóżka. W pokoju było całkiem ciemno. Czułam się strasznie zmęczona, ale mimo to wiedziałam, że nie zasnę ponownie, gdyż nie umiałam zapomnieć o śnie, który tak bezlitośnie przerwał mój wypoczynek:

Szłam ulicą, niosąc siatki z zakupami. Panowała ciemność i doskwierająca cisza, a wokół nie było widać żadnych przechodniów. Ciszę zwały jedynie kroki, jakie zdawały się towarzyszyć mi przez całą drogę. Przyspieszyłam, chcąc dotrzeć do bardziej oświetlonej części miasta, gdzie mogłabym poczuć się pewniej i bezpieczniej. Kroki przyspieszały za mną. Odwróciłam się i zauważyłam dwójkę podążających w moim kierunku mężczyzn. Ich twarze oraz sylwetki były niewyraźne i zamazane. Mogłam dostrzec jedynie błyszczący przedmiot w dłoni jednego z nich – pistolet. Zaczęłam biec przed siebie chcąc zgubić prześladowców. Ci biegli za mną. Rzuciłam siatki na ziemię chcąc pozbyć się zbędnego balastu i skręciłam w najbliższą ulicę. Przestałam poznawać otoczenie. Czułam się coraz bardziej zagubiona i zagrożona, schowałam się więc za autem, zaparkowanym we wnęce jednego z budynków. Odgłos kroków nieuchronnie zbliżał się w moją stronę...

Usiadłam na łóżku czując, że po takim koszmarze sen prędko nie nadejdzie. Skarciłam się w myślach za sympatię do kryminałów i thrillerów. Próbując sobie przypomnieć ostatnio widziany film, spojrzałam na radio-budzik stojący na stoliku nocnym. Wskazywał dopiero trzecią w nocy. Podeszłam do okna, przeciągając się ospale. Księżyc pięknie rozświetlał bezchmurne, wrześnie niebo. Rozejrzałam się po parkingu w poszukiwaniu samochodu ojca. Poprzedniego wieczoru nie wrócił do domu na noc, a ja nie czekałam na jego powrót, podejrzewając, że nie nastąpi to prędko. Nie myliłam się, auta nadal nie było. Za to na naszym miejscu stała czarna skoda. Zaciekało mnie to, ponieważ nikt z sąsiadów nie posiadał samochodu tej marki. Goście zazwyczaj pozostawiali swoje auta na okolicznych parkingach strzeżonych. Ten przeznaczony był jedynie dla mieszkańców.

Gdy już chciałam odejść od okna, podjechał drugi, identyczny pojazd, z którego wysiadł mężczyzna w garniturze. Z ostrożnością wycofałam twarz od szyby, aby mnie nie zauważono. Obserwowałam bieg wydarzeń. Z pierwszego wozu wysiadł wysoki człowiek ubrany w ciemne dżinsy i kremową koszulę. W ręku trzymał jakąś teczkę lub kopertę, którą podał swojemu towarzyszowi. Zebrani rozeszli się, ale każdy wsiadł do innego pojazdu. Mężczyzna w garniturze nie odjechał.

Nagle spod drzwi wejściowych usłyszałam niepokojący szmer, jakby ktoś próbował dostać się do mieszkania. Podskoczyłam ze strachu, słuchając coraz wyraźniejszego i głośniejszego chrobotania. Nagle, zupełnie niespodziewanie w myślach dostrzegłam obrazy z filmu, który próbowałam sobie przypomnieć. Zły moment, ponieważ był to film, w którym zbiegły więzień włamuje się do domu pewnej rodziny, zabija rodziców i próbuje schwytać ukryte dzieci. Właśnie znalazłam się w podobnej sytuacji, z tym że byłam w mieszkaniu zupełnie sama.

Z przerażeniem i w panice sięgnęłam po gitarę, nie rozumiejąc właściwie w jaki sposób miałabym jej użyć, ale zawsze to jakieś narzędzie obrony. Wyszłam na korytarz i nasłuchiwałam, co dzieje się na dole, z trudem opanowując przyśpieszony oddech. Drzwi otworzyły się. Znieruchomiałam gotowa do ataku. Ktoś głośno wtoczył się do środka. Usłyszałam brzdęk upadających na podłogę kluczy i głośne: cholera. To był ojciec.

Cofnęłam się do pokoju i słysząc zbliżające się kroki na schodach zamknęłam szybko drzwi pokoju. Niestety ojciec wszedł do środka i stanął na przeciw mnie. Poczułam odurzający zapach alkoholu zmieszany z aromatem słonych orzeszków.

– Nienawidzę cię! – krzyknął bełkotliwie i wyszedł trzaskając drzwiami.

Zostałam sama. Niezdarnie wgramoliłam się pod kołdrę, odkładając gitarę na podłogę. Położyłam się skulona i zatkałam poduszką uszy, aby nie słyszeć wykrzykiwanych przekleństw. Zacisnęłam powieki, starając się wyprzeć nadchodzące wspomnienia.

Miałam wtedy sześć lat. Ojciec bez słowa wiązał mi czerwone buciki w białe groszki. Wokół tłoczyły się matki odbierające swe pociechy po pierwszym dniu w zerówce. Uśmiechnięte dzieci opowiadały rodzicielkom o pierwszych szkolnych przeżyciach. Z błyskiem w oczach przyglądałam się radości emanującej z otoczenia. Z rozkojarzenia upuściłam pierwszy namalowany na zajęciach rysunek, który zawzięcie przyciskałam do piersi. Ojciec kontynuował swoje zajęcie.

– Spadł ci obrazek, skarbie – jedna z kobiet podniosła kartkę z podłogi i podała mi z uśmiechem, po czym pieszczotliwie pogłaskała mnie po głowie.

– Co się mówi – upomniał mnie ojciec dość naturalnie. Przy obcych potrafił udawać dobrego rodzica.

– Dziękuję – powiedziałam niepewnie wpatrując się w przyjazny uśmiech kobiety.

– Chodź – tato pociągnął mnie za rękę w kierunku wyjścia. Szłam posłusznie, oglądając się za panią, której serdeczny uśmiech nie zniknął z twarzy.

– Tato? – spytałam cichutko, gdy byliśmy już na zewnątrz. Opowiedziała mi tępa cisza. Próbowałam nadążyć za szybkim tempem ojca. Słyszałam tylko ciężkie, szybkie kroki jego nóg, rozchlapujące wodę w kałużach. Zauważyłam, jak rozpryskująca błotnistowodna maź, osadza się na moich dżinsowych ogrodniczkach i nowych, ulubionych czerwonych bucikach.

– Tato? – pociągnęłam ojca za nogawkę spodni, aby wreszcie zwrócił na mnie uwagę.

– Co?! – krzyknął, zatrzymując się. Skuliłam się wbijając wzrok w zachlapane buty. Nie bałam się uderzenia, nigdy tego nie zrobił. Jednak cierpkość jego słów raniła okrutnie i boleśnie.

– Dlaczego ja nie mam mamusi? Wszystkie dzieci w szkole mają, a ja nie – ojciec milczał, tylko spojrzał na mnie wrogo. – Dlaczego?

Podniosłam na niego oczy i spojrzałam w jego owalną twarz.

– Chcesz wiedzieć? – w odpowiedzi kiwnęłam głową twierdząco. Tata rozejrzał się wkoło – nie było śladu przechodniów. – Bo ją zabiłaś! Słyszysz?! Zabiłaś własną matkę!!! – krzyczał potrząsając mną. Uwierzyłam...

Łzy mimowolnie spłynęły mi po policzkach. To była najdłuższa rozmowa jakąkolwiek przeprowadziłam z ojcem. Od tego czasu dużo zmieniło się w naszych relacjach, po prostu ignorował mnie jeszcze bardziej niż wcześniej. Czasem pytał jak było w szkole, ja zaś odpowiadałam jednym słowem – dobrze. Zwracał na mnie uwagę w obliczu zbliżających się wywiadówek, aby móc udawać dobrego, interesującego się dzieckiem ojca, ja zaś udawałam, że takowego mam. Zawsze, gdy wracał do domu pijany, wykrzykiwał jak to bardzo mnie nie cierpi. Poza tymi przejawami zainteresowania żyliśmy obok siebie jak dwoje całkiem obcych sobie ludzi, którzy zmuszeni byli koegzystować wspólnie. Przyzwyczaiałam się do tego układu. Nauczyłam się żyć tylko szkołą i spotkaniami z przyjaciółmi. Ojciec w żaden sposób niczego mi nie zabraniał, ani nie nakazywał, choć czasem bym tego potrzebowała... Żyłam przyszłością, marząc o osiągnięciu pełnoletniości i zostawieniu tego piekła za sobą. Choć kiedyś pragnęłam, aby zostawił mnie i odszedł. Poczuliśmy się wolny od ciężaru, którym dla niego ewidentnie byłam ja. Teraz jednak już było mi to zupełnie obojętne. Znalazłam własny sposób na życie i wydawał mi się on nie najgorszy, bo gdy coś wypierasz i temu zaprzeczasz, sam jesteś w stanie uwierzyć, że to prawda.

Jedyną osobą, którą kochałam i która mnie kochała, był dziadek – ojciec mamy. Mieszkał ze swoją drugą żoną w Anglii. Mieli trójkę niepełnosprawnych dzieci, dlatego też dziadek rzadko odwiedzał Polskę. Po raz pierwszy spotkaliśmy się, gdy miałam prawie dziewięć lat. Spędziliśmy ze sobą kilka wspaniałych dni. To on powiedział mi co tak naprawdę stało się z mamą i dlaczego ojciec obwinił mnie za jej śmierć. Po części byłam w stanie zrozumieć co nim kierowało, ale czy można było przez całe życie winę zrzucać na dziecko? Dziadek obiecał zmianę w zachowaniu taty. Tak też się stało, choć zupełnie pozornie. Przez kilka dni tato okazał mi trochę dobra i troski, po czym znów, po wyjeździe dziadka, zamknął się w sobie. A ja nadal czekałam, na choć krótki przejaw ojcostwa, czasem zastanawiając się jak przeżyłam te ostatnie lata w takiej atmosferze. Chyba po prostu wszystko można zaakceptować i do wszystkiego

się przyzwyczać, szczególnie jeśli pokłada się nadzieję w przyszłości. Tak też robiłam. Raz patrzyłam w przyszłość, innym razem udawałam, że zupełnie nic się nie dzieje.

– Nie martw się, kiedy tylko skończysz szkołę, zabiorę cię do siebie – powiedział dziadek podczas naszej ostatniej rozmowy. Uśmiechnęłam się do tego ciepłego mężczyzny, który nauczył mnie kochać to co się ma, rozróżniać dobro od zła i po prostu żyć, jak przystało na dobrego człowieka.

– Dziękuję – powiedziałam trzymając go za rękę. - Jeszcze tylko pięć lat – dodałam uśmiechając się do siebie.

– Nadal wierzysz, że ojciec się zmieni? – pokiwałam twierdząco głową. – Rozumiem. Tata miał ciężkie życie, ale nie ma prawa krzywdzić cię w ten sposób...

– Stara się – sama nie mogłam uwierzyć w moje słowa, ale tak czułam. Może wtedy byłam jeszcze naiwna? Nieraz wiedziałam ojca jak płakał po kłótni ze mną. Ciężko pracował na nasz byt, a gdy wracał z pracy i na mnie spojrzał, coś w nim pękało. Podobno byłam bardzo podobna do matki, to mu zapewne sprawiało ogromny ból. Potem sobie przypominał co obiecał sobie i żonie, a widząc, że nie dotrzymał danego słowa pił na umór. Czasem przez kilka dni, aby zapomnieć, czasem sam, a czasem z kolegami. Gdy rano wstawał na powrót się winił i próbował coś zmienić. Nie udawało się i tak w kółko.

– Nie dano mu szansy – dodałam spojrzawszy w mądre oczy dziadka.

– Mama uczyła go miłości... Nie zdążyła...

„Nie zdążyła... nie zdążyła...” – w głowie huczały mi słowa ostatniej rozmowy z dziadkiem. Krótco potem zmarł. Poza ojcem nie miałam już nikogo.

Zbudziło mnie pukanie do drzwi, spojrzałam na zegarek była dziesiąta – Zasnęłam! Na progu pojawił się ojciec z wymalowanym na twarzy poczuciem winy.

– Nie spóźnisz się do szkoły? – zapytał. No tak pierwszy ranek po przepiciu, scenariusz się powtarza.

– Już jestem spóźniona – ojciec złapał się za uszy jakbym krzyczała.

– Dobrze – wymamrotał wycofując się. Koniec dobroci na dziś.

Pośpiesznie wstałam i zaczęłam się ubierać. Miałam jeszcze szansę zdążyć na trzecią lekcję. Spakowałam szybko zeszyty do plecaka i wybiegłam.

– Nie spóźnij się na obiad. Ugotuje coś – usłyszałam za plecami.

Do szkoły weszłam zdyszana. Lekcja niestety się zaczęła. Otworzyłam pośpiesznie drzwi klasy i weszłam do środka. Nauczyciela nie było. Usiadłam obok Marty w przedostatniej ławce i wypakowałam zeszyt potrzebny na tej lekcji.

– Co jest? Czemu przyszłaś tak późno? – spytała. Cała klasa odwróciła się w naszą stronę.

– Hej – powiedziałam wszystkim. W tym momencie do klasy wrócił pan Marcel.

– W takim razie zaczniemy bez Amandy – powiedział podchodząc do tablicy. Klasa chrząknęła. Pan Marcel odwrócił się z zaciekawieniem.

– Przepraszam, już jestem – powiedziałam, wstając z krzesła. – Przepraszam za spóźnienie. Po twarzy mężczyzny przebiegł uśmiech, który po chwili zniknął.

– Ładnie zaczynasz rok szkolny, Amando. To dopiero pierwszy miesiąc nauki – powiedział z dezaprobatą. Spuściłam wzrok na swoje ręce.

– Możesz już usiąść. Czas zacząć lekcję.

Język polski minął dość szybko. Na kolejnej przerwie postanowiłyśmy z dziewczynami udać się do pobliskiego sklepu na lody. Z zasady nie wolno było nam opuszczać terenu szkoły w czasie lekcji, ale jeśli miało się dobre relacje z dyżurującym nauczycielem, można było uzyskać zgodę na szybkie wyjście do małego sklepu mieszczącego się jakieś dwadzieścia metrów od głównej bramy wejściowej szkoły. Ta niepisana zasada działała tylko późną wiosną, latem i wczesną jesienią, kiedy pogoda pozwalała na przerwy na świeżym powietrzu.

Uzyskanie zgody nie było trudne. Dyżur pełniła akurat nauczycielka kółka plastycznego, na jakie uczęszczała Karolina. Kilka uśmiechów i zapewnień, że Karola namaluje na przyszłe spotkanie plakat przestrzegający przed skutkami palenia

papierosów i już miałyśmy zgodę. Pędem ruszyłyśmy w stronę sklepu, chcąc zyskać trochę czasu.

– Na pewno nic się nie stało? – spytała Marta, gdy usiadłyśmy przy małym stoliku przed sklepem z lodami. Miałyśmy pięć minut na tę przyjemność i powrót do szkoły.

– Nie – odpowiedziałam przyglądając się śmietankowym lodom z kawałkami mlecznej czekolady. – Po prostu zasnęłam.

– A facet w garniturze ci się nie śnił? – spytała Karolina z uśmiechem.

Westchnęłam i podniosłam wzrok przed siebie. Znowu towarzyszyło mi to przedziwne uczucie, jakby ktoś bacznie nam się przyglądał. Wokół nas kręciło się kilka osób, ale żadna nie budziła moich podejrzeń. Tuż obok, na ławce siedziało czterech chłopców z naszej szkoły. Najprawdopodobniej ze starszej klasy, ponieważ byli dość wysocy i muskularni. Kawałek dalej przechodziła siwowłosa starsza kobieta z czarno-brązowym jamnikiem, który zdawał się nadawać kierunek spacerowi. Na drugiej stronie jezdni dostrzegłam młodą parę z wózkiem oraz grupę gimnazjalistów. Ci rozglądali się nerwowo za siebie, jakby bali się, że ktoś za nimi podąża. Wzdrygnęłam się na tą myśl i wróciłam duchem do przyjaciółek, nie dostrzegłszy nic niepokojącego.

– Jedz kochana lepiej te lody. przyda nam się trochę cukru przed wuefem – odparłam z uśmiechem, porzucając bezpodstawne refleksje. Któż miał by nas obserwować i przyglądać się naszemu szybkiemu piknikowi? Kogo miałyby obchodzić, co robimy?

– Faktycznie namalujesz ten plakat na kółko? – spytała Marta, połykając ostatnią gałkę lodów.

– Jasne – Karolina zaśmiała się odgarniając włosy z twarzy. Przez moment zdawało mi się, że puściła oczko do chłopców siedzących nieopodal. Jednak przymknęła tylko oko po czym machając zamasyście lewą dłonią, w powietrzu nakreśliła niewidzialne linie.

– Kilka muśnięć pędzlem i będę miała to z głowy. Wy natomiast wymyślicie co ma być na tym plakacie.

Spojrzałam na Martę niepewnie i już chciałam zaooponować, kiedy Karolina wstała i wrzuciła obgryzionego wafelka od lodów do kosza:

– Nie zapominajcie, kto wam załatwił te lody – uśmiechnęła się, kierując kroki do szkoły.

Dla odmiany na zajęcia wracałyśmy wolnym krokiem, choć została nam tylko minuta, w ciągu której właściwie powinnyśmy znaleźć się na boisku szkoły po drugiej stronie budynku. Gdy wreszcie dotarłyśmy do szatni, rzuciłam torbę na ławkę i prędko przebrałam się w strój sportowy. Co zadziwiające, miałam dziś ochotę ćwiczyć. Co więcej, wypocić się, jakby miało to spowodować wyparowanie wszelkich żali i niepokoi.

Wyszłyśmy na dwór pięć minut spóźnione. Nauczyciel już na nas czekał. Męska część klasy miała lekcje z nowym, podobno sadystycznym wuefistą. Nas na szczęście uczył całkiem sympatyczny nauczyciel, który uchodził w szkole za całkiem przystępnego belfra wśród starszych roczników. Ja po kilku lekcjach mogłam się z tym tylko zgodzić. Pan Witkowicz był wysportowany, starszy od nas co najwyżej dziesięć lat i strasznie przystojny. Miał krótko obstrzyżone włosy, a na jego szyi zamiast gwizdka wisiał sznurkowy, pleciony naszyjnik.

– Jesteście wszystkie? – zapytał zaraz po tym jak się zjawiłyśmy. Chyba czekano jedynie na naszą trójkę. – W porządku. W takim razie obiegijcie trzy razy boisko – rozkazał.

Ruszyłam razem z Martą. Karolina pędziła przodem, chcąc zaprezentować, że od ostatniej lekcji wychowania fizycznego dbała o formę. Po przebiegnięciu jednego okrążenia dołączył do nas Łukasz z Arkiem. Arek był rudowłosy i bardzo szczupły. Już po raz drugi powtarzał pierwszą klasę. Swoją złośliwością sprawiał, że przez całą poprzednią grupę był traktowany niczym czarna owca i pomijany przy wszelkich imprezach czy wyjazdach organizowanych przez klasę. Tym razem chyba nie miało być inaczej. Przez pierwsze dni nauki próbowałam z nim bliżej zaprzyjaźnić się i w jakiś sposób pomóc mu się odnaleźć. Nie przyniosło to żadnego efektu. Chłopak po prostu nie potrzebował przyjaciół, przynajmniej tak twierdził. Nie przeszkadzało mu to jednak w uprzykrzaniu mojego życia – chyba nigdy się ode mnie nie odcepi.

-
- Gdzie byłaś, gdy cię nie było? – zapytał zalotnie Arek. Zacisnęłam pięści, lekko zezłoszczona.
- W domu. Zasnęłam – odparłam przez zęby żeby przypadkiem nie powiedzieć czegoś więcej. Łukasz zamknął mi usta małym całusem biegnąc przede mną przez chwilę, twarzą do mnie. Arek zagwizdał.
- Niezły początek dnia – dodał. Miałam dość. Ruszyłam przed siebie, wyprzedzając nawet Karolinę i zostawiając zdziwioną grupkę przyjaciół za mną. Usłyszałam jak Karolina burknęła coś pod nosem ze złości. Musiało jej bardzo zależeć na tym, aby zaimponować chłopcom. Nie byłam świadoma, że jestem w stanie biec tak szybko i na dodatek nie czuć zmęczenia. Jednak, gdy tylko złość ustąpiła, poczułam jak tracę siły. Stałam na pobliskim trawniku, by odzyskać energię. Reszta była dość daleko, miałam więc mnóstwo czasu na odpoczynek. Oparłam więc dłonie na kolanach, lekko pochylając się do przodu, aby uspokoić przyśpieszony oddech. Po chwili moich uszu dobiegł dźwięk łamanej gałązki. Odwróciłam się i zobaczyłam wysoką i umięśnioną postać wychylającą się zza dość sędziwego drzewa. Osoba ta na twarzy miała założoną czarną kominiarkę z otworami na oczy. Nie zdążyłam zrobić nawet kroku, gdy poczułam bolesne ukłucie w ramię. Odwróciłam się po raz ostatni, aby zobaczyć pistolet w prawej dłoni napastnika wymierzony w moją stronę, po czym poczułam jak osuwam się w ciemność.

II Przeróżenie

Byłam na łące usłanej dziesiątkami różnych gatunków kwiatów. Zapach roślin unosił się wokół, wprawiając mnie w dobry nastrój. Zewsząd dobiegała wesoła muzyka a na skraju łąki stała wysoka i szczupła kobieta w długiej, sięgającej kostek białej sukni harmonijnie współgrającej z jej śniadą cerą. Falowane, kasztanowe włosy opadały na wąskie, odkryte ramiona. Z ciemnobrązowych oczu wзираła radość, a na jej brzoskwiowych ustach gościł promienny uśmiech, ukazując nieskazitelnie białe zęby. Osoba ta była bardzo podobna do mnie, tylko starsza. To była moja mama. Choć nigdy jej nie widziałam, to właśnie tak wyobrażałam sobie jej wygląd.

– Zatańcz ze mną, kochanie – powiedziała ciepłym, pogodnym głosem obracając się wokół siebie i wznosząc ku niebu swoje smukłe, piękne ramiona. Kobieta śmiała się głośno, nie przestając się obracać. Czy ja umarłam? Muzyka nagle ucichła a życzliwa buzia matki zaczęła się oddalać.

Otworzyłam oczy, jednocześnie próbując podnieść ręce w górę, jak to właśnie robiła śniąca mi się kobieta, ale poczułam opór. Domyśliłam się, że leżę, a moje nogi i ręce są przywiązane do łóżka. Po mojej prawej stronie siedziała kobieta z mężczyzną. Oboje ubrani byli w ciemnozielone T-shirty a na twarzach mieli założone zielone, chirurgiczne maseczki. Natomiast po lewej stronie dostrzegłam dwóch mężczyzn w kominiarkach i garniturach, którzy sprzeczali się o coś.

– Chwila... czy ja ich już gdzieś nie widziałam? – nie umiałam sobie przypomnieć.

Po chwili, oprócz obrazów, do mojej świadomości wróciły także odgłosy. Byliśmy w samochodzie który do złudzenia przypominał karetkę.

– Czy ty w ogóle coś jej wstrzyknąłeś?! – powiedział jeden z nich patrząc na mnie. Powodem ich kłótni najprawdopodobniej byłam ja.

– Pewnie – odpowiedział drugi mocnym i pewnym siebie głosem – ale nie chciałem przesadzić z ilością. W aktach jest napisane - na dowód podsunął koledze szarą teczke.

W tym momencie auto tylnym kołem wpadło zapewne w uliczną dziurę, gdyż każdy z pasażerów niemal spadł z miejsca. Teczka upadła na siedzisko ukazując swoją zawartość. Kątem oka obserwowałam leżące dokumenty, gdyż nie byłam w stanie przekręcić głowy na bok, bowiem również i ją ciasno opinał pas. Wśród sterty papierów dostrzegłam dużą ilość zdjęć, przedstawiających moją osobę – w oknie mojego pokoju, na boisku, w drodze do szkoły, w szkolnej ławce, na spacerze, w sklepie... Były też zdjęcia moich przyjaciół.

Niczego nie rozumiałam. Czyżby ci mężczyźni od dawna obserwowali mnie i wszystkich moich bliskich? Czyżby moje wcześniejsze przecucia miały uzasadnienie i rzeczywiście ktoś mnie prześladował? Próbując krzyknąć wydałam z siebie jedynie dziwny jęk, nie byłam w stanie nic powiedzieć. Mężczyźni przestali zbierać akta i spojrzeli na mnie, jakby przypominając sobie o mojej obecności. Pierwszy kiwnął porozumiewawczo na osoby siedzące na przeciw. Kobieta wstała sięgając do stoliczka po prawej stronie mojej głowy, a mężczyzna sięgnął do kieszeni i podszedł do mnie. Rozszerzył palcami prawej ręki moje oko i bezlitośnie zaświecił w nie latarką. Blask żarówki był boleśnie oślepiający. Czynność tę powtórzył z drugim okiem, a ja w żaden sposób nie mogłam mu przeszkodzić.

Chciałam krzyknąć, wyrwać się, zapytać co się dzieje, ale nie byłam w stanie w żaden sposób zareagować. Nadal tkwiłam w bezkresnej ciemności, która pochłaniała mnie ku sobie. Nie mogłam zemdleć, nie teraz.

– W porządku – powiedział, oddalając się.

– Podaj połowę dawki – wtrącił mężczyzna w garniturze o mocnym głosie, gdy kobieta wbijała igłę w moją rękę. Poczułam jak pogrążam się we śnie, a ciemność na powrót chwyta mnie w swe ramiona.

Obudziłam się po zapewne długim czasie. Światło jarzeniówki, wiszącej nade mną raziło mnie. Minęła dłuższa chwila zanim przyzwyczałam się do panującego oświetlenia. Nadal byłam przypięta do łóżka, nie mogłam więc się poruszyć, ale nie byłam już w samochodzie. Znalazłam się w dziwnym pomieszczeniu. Ściany były białe.

Na ich tle wyróżniały się jedynie grube, solidne, szare drzwi z małym urządzeniem z czerwoną, malutką lampką naprzeciw mnie oraz ogromne lustro, przymocowane po prawej stronie. Nie było okien a jedynymi sprzętami, które się tu znajdowały, były liczne monitory i aparatura medyczna. Czyżbym była w szpitalu? Pokój wypełniały miarowe dźwięki maszyny monitorującej bicie serca. Byłam podłączona do wszelkich znajdujących się tu urządzeń. Do mojej głowy podłączone były liczne przewody, a do lewej dłoni kroplówka. Spokojny i rytmiczny odgłos aparatów ukołysał mnie ponownie do snu.

Jednostajność zmaćił odgłos otwieranych drzwi, który niemiłosiernie wyrwał mnie ze snu. Czerwona lampka zmieniła kolor na zielony a do środka weszło kilku mężczyzn w białych fartuchach. Nie byłam w stanie określić ich liczby, chwilami zdawało mi się, że jest ich kilku, a za chwilę miałam wrażenie, że ich liczba podwoiła się. Towarzyszył im jeden nie pasujący do reszty, ubrany na czarno. A może było ich dwóch? Podeszli bliżej monitorów i zatrzymali się, nie zwracając na mnie uwagi, jakby w ogóle mnie tutaj nie było.

– Funkcje życiowe w porządku – rzekł jedyny mający założone okulary. W ręku trzymał granatową podkładkę, na której przerzucał kartki, dopisując coś długopisem do swoich notatek. Przyjrzałam się ruchom jego dłoni, ale nie byłam pewna co notuje. Pisał szybko i niedbale, jakby bał się chwili, w której ktoś spróbuje rozszyfrować tajne zapiski.– Jak wyniki? Potwierdziły się nasze informacje? – zapytał facet w czerni. Teraz, gdy wróciła mi ostrość widzenia, byłam pewna, że nie towarzyszył mu drugi, podobny człowiek.– Chyba tym razem trafiliśmy. Ale musimy wykonać jeszcze kilka testów – odparł okularnik, przerywając notowanie.

– Już myślałem, że nigdy nie doczekam tej chwili – powiedział z satysfakcją, przelotnie spoglądając na mnie. W jego oczach dostrzegłam błysk, wyglądał na zadowolonego i spełnionego, jakby dostał wymarzony prezent, na który długo czekał. Postanowiłam skorzystać z chwili jego zainteresowania.

– Gdzie jestem? – wychrypiałam przeciągle. Mój głos był cichy i niewyraźny. Poczułam ból w gardle i uciążliwe pieczenie, moje struny głosowe zdawały się wyschnąć i błagać o kroplę wody. Teraz rozumiałam jak mogła czuć się ryba wyrzucona na brzeg i pozbawiona kojącej wilgoci.

– Przeprowadźcie analizę jak najszybciej. Wyniki mają trafić na moje biurko – odparł osobnik najbardziej wyróżniający się, nie zwracając uwagi na me nieśmiałe pytanie. Czym prędzej skierował się do wyjścia i opuścił pomieszczenie. Za jego przykładem poszła reszta.

Byłam coraz bardziej sfrustrowana. Próbowałam wyswobodzić się z uścisku pasów, ale te niemal nie pozwalały mi się ruszyć, ciasno zapięte wokół moich nadgarstków, kostek i talii. Byłam przerażona, a miejsce w którym się znalazłam zdawało się nie być zwyczajnym szpitalem, w którym poinformowano by mnie co się ze mną dzieje, z jakiego powodu się tu znalazłam i jakie kroki zostaną podjęte, by przywrócić mnie do zdrowia. Tutaj wszyscy zdawali się nie zauważać mojej obecności, jakbym nie była człowiekiem, a jedynie przedmiotem, który można wykorzystać do własnych celów.

Po chwili do sali weszły dwie osoby ubrane w dziwne żółte kombinezony, jakby z grubej folii. Twarze ich były ukryte za przezroczystymi okularami a usta i nosy ochraniały maski. Na plecach, pod grubą powłoką odznaczały się jakby plecaki. Całe ich ciała okryte były szczelnie tym błyszczącym materiałem, nie odsłaniając choćby milimetra gołej skóry czy ubrania. Druga postać trzymała w rękach srebrną tackę, na której leżało kilka strzykawek.

– Jestem w szpitalu? – zapytałam coraz bardziej przerażona. Łzy zaczęły spływać mi po policzkach ze strachu i stresu.

– Nic nie rozumiem – pomyślałam. – Ktoś mnie obserwował, po czym porwał, a teraz przetrzymuje w pseudo szpitalu? To jakaś pomyłka. To nie możliwe, bo po co ktoś miałby to robić? Jestem zwykłą dziewczyną, uczennicą przeciętnego liceum, córką człowieka nietrudniącego się wysokozarobkowym zawodem. Nie jestem kimś, kogo warto porywać – konkludowałam w głowie.

– Zaczniemy od tej fiołki – powiedział do siebie pierwszy wyciągając rękę po strzykawkę i kierując się do mnie. Zbliżył igłę do kroplówki i zaczął wpuszczać ciecz. Bezbarwny płyn wypełnił buteleczkę, po czym leniwie spłynął przezroczystym wężykiem wprost do mojej ręki i wkłutego tam wenflonu. Zaczęłam krzyczeć i szarpać się, choć nie przynosiło to żadnych efektów. Mężczyzna spojrzął na mnie wreszcie.

– Ciii... To nic nie da – jego głos znacznie tłumiała maska, ale i tak doskonale go rozumiałam. Nie uspokoiłam się, lecz płakałam jeszcze mocniej. Drugi z mężczyzn włożył tackę do pudełka, wyglądającego niczym mini lodówka do napojów, następnie razem z towarzyszem wyszedł.

Teraz utwierdziłam się w swoim przekonaniu. To musiało być porwanie. Jacy lekarze wstrzykiwali by pacjentce do organizmu drobnoustroje, w czym miałyby to pomóc? Było źle. Znalazłam się w paradoksalnej sytuacji, która jest fatalna. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zaczęto mnie szukać. Szkoła musiała zauważyć moje nagłe zniknięcie, przyjaciele na pewno zaczęli mnie szukać, zapewne i ojciec przyłączył się do poszukiwań, bo nie był aż tak nieczuły, by nie działać. Zapewne nikt nie mógł siedzieć beczynn timer, ani czekać dwudziestu czterech godzin by zgłosić fakt zaginięcia policji.

Zresztą nie widziałam ile czasu minęło od mojego uprowadzenia, czy były to godziny czy dni. Ciągłe spałam, na ręku nie miałam zegarka, a nawet jeśli by tam był, to nie mogłabym podnieść ręki, by sprawdzić godzinę. Jednak wizja zmartwionych i szukających mnie przyjaciół nie podniosła mnie na duchu, czułam się coraz gorzej. Miarowe bicie serca rejestrowane przez aparaturę w żaden sposób nie uspokajało mnie. Dawka środka nasennego zapewne już opuściła mój organizm, gdyż zaczęła docierać do mnie powaga sytuacji. Byłam załamana i zagubiona. Zupełnie nie rozumiałam co się dzieje i co właściwie robię w tym przedziwnym miejscu. Przeanalizowałam wszystko co się wydarzyło dzisiejszego dnia, próbując usystematyzować sobie w jakiś sposób wszystkie zdarzenia w poszukiwaniu rozwiązania. Nie znalazłam jednak odpowiedzi na jakiegokolwiek dręczące mnie pytania. Leżałam i zastawiałam się nad wszystkim przez dłuższy czas. W końcu moje

rozważania, zamiast przynieść mi ulgę i odpowiedzi, sprawiły wzrost frustracji oraz panicznego lęku. Nie miałam pojęcia jak długo leżę w tej sali i kim właściwie są ci wszyscy ludzie, a tym bardziej czego ode mnie chcą. Wystraszyłam się tego, co ze mną robili. Przeróżne myśli przemykały przez moją głowę, potęgując uczucie strachu. Nagle zaczęłam z trudem łapać powietrze, jakby coś zatrzymało mi się w gardle i uniemożliwiało nabranie oddechu. Płytko wdychane powietrze stało się palące i krztuszące, potęgując wrażenie duszności. Czułam też bolesne łomotanie serca, które jakby próbowało wydostać się na zewnątrz. Miałam wrażenie, że pot spływa mi strużkami po twarzy, a do tego całym moim ciałem zaczęły targać dreszcze. Było mi potwornie zimno. Pomału popadałam w nieświadomość, z której raz po raz brutalnie wrywały mnie okropne dźwięki szalejących aparatów medycznych. Pragnęłam by chociaż skulić nogi, co zapewne zmniejszyłoby uczucie chłodu i sprawiło, że poczułabym się trochę lepiej. Było mi niedobrze. Nudności te zostały wywołane chaotycznym, czerwonym światłem odbijającym się od podłogi i ścian oraz nienaturalnym kobiecym głosem powtarzającym jak mantrę: *Dekontaminacja pomieszczenia rozpoczęta... Dekontaminacja pomieszczenia rozpoczęta... Dekontaminacja pomieszczenia rozpoczęta...* Zdecydowanie działo się coś dziwnego. Czas włókł się nieubłaganie, przeciągany cierpieniem. Nie miałam pojęcia jak długo to wszystko trwa. Dla mnie była to wieczność. *Dekontaminacja pomieszczenia zakończona. Warunki bezpieczne. Powtarzam. Dekontaminacja...* – ponownie usłyszałam dźwięk wydobywający się z głośników, które udało mi się zlokalizować w górnym rogu pomieszczenia. Głos ten musiał należeć do komputera, ponieważ był nadto sztuczny jak na ludzki.

Do wnętrza wtargnęło kilka osób przezornie ubranych w stroje ochronne. Każda z nich zaczęła krzątać się przy mnie. Jedna zabrała się do osłuchiwania klatki piersiowej i kołatającego serca, inna przycisnęła palce do mojego nadgarstka mierząc puls, trzecia zaś bacznie obserwowała alarmujące monitory. Inny mężczyzna pobrał krew z żyły w prawym łokciu, a następnie włożył mi do ust dziwny patyczek,

przypominający ten higieniczny, którym przesunął kilkakrotnie po wewnętrznej stronie policzków. Zakasłałam jeszcze bardziej, mając wrażenie, że zaraz zwymiotuję. Następnie podszedł do blatu stojącego koło monitorów, na którym zauważyłam też mikroskop i komputer. Po chwili do sali weszła piąta osoba niosąc gruby koc, którym przeznaczony był dla mnie. Zrobiło mi się ciepłej, jednak nadal miałam dreszcze. Ktoś założył mi na twarz maseczkę tlenową, ale nie czułam się lepiej. Obecność tych wszystkich osób wywołała u mnie mobilizujący atak strachu. Poczułam przypływ energii. Gdybym tylko mogła wyrwać się z uścisku pasów, miałabym siłę stąd uciec. Szarpałam rękoma i nogami próbując się uwolnić. Próba była bezskuteczna. Mężczyźni spojrzeli w stronę lustra wzruszając ramionami.

– Może się pomyliliśmy – powiedział jeden z mężczyzn. – Nie sądzę. – Osoba, która pobierała mi krew odwróciła się od blatu i spojrzała w tym samym kierunku co pozostali zebrani. – Wstępne badania są zadowalające. Wirus został zwalczony, są przeciwciała.

– Hmm... – pierwszy zastanowił się przez chwilę przesuwając palcem po wysokim czole i spojrzał porozumiewawczo na pozostałych. Ci kiwnęli głowami twierdząco. – Panie Mant, myślimy, że jest to emocjonalna reakcja na zaistniałą sytuację. – Mężczyzna zwrócił się w stronę lustra. Kim do licha był pan Mant?

– Dokładnie. Badanie nie wykazało chorobowych dolegliwości. Podane drobnoustroje zostały zwalczone. Natomiast gorączka, przyspieszone tętno, dreszcze, trudności w oddychaniu, wzmożona potliwość czy bladość skóry wywołana została przez strach

– uzupełnił, głośno krzycząc drugi, spoglądając co chwila to na mnie, to na towarzyszy. Zorientowałam się, że mężczyzna krzyczy, aby przekrzyczeć moje wrzaski.

– Dajcie jej coś na uspokojenie... i trochę wody do picia – zawyrokował po chwili głos z głośnika, brzmiący identycznie jak ten faceta w czerni. Czyżby był to pan Mant? Gdzie on teraz był? Spojrzałam w kierunku lustra, jak to przez cały czas czynili ci pseudolekarze. No tak, to nie było zwykłe lustro, za tą szybą stał pewnie ten typ i mnie obserwował.